

Moi dziadkowie – Rodzinne wspomnienie o wojnie, sumieniu i dziedzictwie

Jestem ostatnim członkiem mojej rodziny.

Nie ma już nikogo, kto pamiętałby moich dziadków nie jako fotografie czy nazwiska w rejestrach, lecz jako żywych ludzi. Gdy umrę, zniknie pamięć o tym, kim byli, o cichej odwadze, którą żyli, i o bólu, który nosili – chyba że zapiszę to teraz. To historia osobista, ale nie tylko osobista. Dotyczy przemocy XX wieku, tego, co znaczyło przetrwać reżim totalitarny nie oddając sumienia, i tej cienkiej linii między współludziałem a oporem, po której musiało stąpać tylu zwykłych ludzi.

To historia moich dziadków: babci, która przeżyła bombardowania Wiednia i niewyobrażalną stratę dzieci, oraz dziadka – wprawnego tokarza, który w fabryce wojennej znajdował małe, ale niebezpieczne sposoby, by sprzeciwić się nazistowskiemu reżimowi. Piszę to, bo ich historia zasługuje, by żyć. I piszę to, bo ich życie wciąż kształtuje to, jak dziś rozumiem sprawiedliwość, pamięć i moralną jasność.

Babcia: Przetrwanie pod bombami

Babcia urodziła się w 1921 roku i przeżyła II wojnę światową we wschodnich dzielnicach Wiednia. Jak większość cywilów, stosowała się do poleceń władz. Gdy wyły syreny alarmowe, brała dzieci i biegła do piwnicy wyznaczonej jako schron przeciwlotniczy budynku.

Te schrony były często tylko przerobionymi suterenami – wilgotnymi, zatłoczonymi, słabo wentylowanymi. Nazywano je *Luftschutzkeller* („piwnice ochrony przeciwlotniczej”), ale ochrony było w nich jak na lekarstwo. Powietrze gęste i stęchłe, światło niestabilne, a przepisy zaciemnienia sprawiały, że nawet wąska smuga światła mogła wzbudzić podejrzenia lub spowodować niebezpieczeństwo. Podczas nalotów piwnice pełne były ludzi, ciężkiej od strachu ciszy i cichego oczekiwania – czy strop wytrzyma, czy runie.

Pewnej nocy strop nie wytrzymał.

Schron, w którym była babcia, dostał bezpośrednie lub prawie bezpośrednie trafienie. Budynek nad nimi zawalił się. Wybuch, gruzy i siła wojny przebiły się do ich kryjówek. Babcię wyciągnięto żywą, ale ciężko ranną. Część czaszki była zmiażdżona i trzeba ją było usunąć. Chirurdzy wstawili metalową płytkę. Do końca życia można było wyczuć krawędź tej płytki pod skórą głowy. Mówiła czasem, że ból nasila się na zimno albo przed burzą – tępy ból, przypomnienie, że wojna nigdy jej całkiem nie puściła.

Ale największa rana nie była fizyczna.

Tamtej nocy straciła pierwsze dwoje dzieci. Oboje zniknęli w mgnieniu oka wśród spadających cegieł i ognia. Jak tyle kobiet z tamtego pokolenia, musiała iść dalej – grzebać, opłakiwać, przetrwać bez prawa do rozpadu. Ten żal nosiła przez głód i chaos powojennego Wiednia.

A jednak zaczęła od nowa.

W 1950 roku urodziła moją mamę – zdrową, żywą, dziecko narodzone wśród ruin miasta, które dopiero zaczynało się podnosić. Trudno przecenić, ile odwagi to wymagało. Ciało złamane, lecz działające. Serce wciąż zdolne do nadziei.

Nigdy jednak nie uwolniła się od tego, co się stało. Nigdy w życiu nie zeszła do metra. Sama myśl o byciu pod ziemią, w zamkniętej przestrzeni, nad którą nie miała kontroli, była nie do zniesienia. A mimo to zmuszała się do korzystania z piwnicznego schowka w bloku. Mały, uparty akt: powrót do miejsca podobnego do tego, które niemal ją zabiło – nie dlatego, że chciała, ale dlatego, że życie tego wymagało.

Żyła z bólem, pamięcią i milczeniem. Ale żyła.

Dziadek: Tokarka, sumienie i mosiądz

Dziadek urodził się w 1912 roku i dorastał w zupełnie innym Wiedniu. W okresie międzywojennym grał w piłkę półprofesjonalnie i pracował z metalem. Został **tokařem** (Dreherem) – człowiekiem, który z milimetrową precyzją kształtuje metal na tokarce. Umiejętność, o której nie wiedział, że uratuje mu życie.

Gdy w 1938 Austria została przyłączona do III Rzeszy, posłuszeństwo stało się równoznaczne z przetrwaniem. Członkostwo w NSDAP najpierw zachęcano, potem oczekiwano, w końcu wymagano. Dziadek nigdy się nie zapisał. Zapłacił za to ograniczonymi możliwościami, wzmożoną inwigilacją i ryzykiem uznania za nielojalnego. Ale wytrwał.

Gdy przyszła wojna, przyszło też powołanie. Większość mężczyzn w jego wieku wysłano na front. Dziadek uniknął Wehrmachtu nie ukrywając się, lecz dzięki rękom. Jego kwalifikacje były potrzebne w przemyśle zbrojeniowym – skierowano go do produkcji broni. Stał się częścią maszyny wojennej – nie jako żołnierz, lecz jako tokarz.

Pracował w zakładach **Saurer-Werke** w Simmering, wschodniej dzielnicy Wiednia. W czasie wojny firma produkowała silniki ciężarówek, pojazdy ciężkie i części, które napędzały nazistowską maszynę wojenną. Zakład masowo wykorzystywał też **pracę przymusową** – ludzi z okupowanych krajów, jeńców, w nieludzkich warunkach.

Dziadek wykorzystywał tę odrobinę luzu, jaką miał, do oporu.

Z fabrycznej stołówki wynosił resztki – jedzenie przeznaczone do wyrzucenia lub dla „zwykłych” pracowników – i potajemnie przekazywał je robotnikom przymusowym. Skórka chleba, kilka ziemniaków. Brzmi jak tak mało. Ale nie było mało. W reżimie, który kryminalizował współczucie i gdzie donos mógł przyjść od kolegi z warsztatu, nawet

najmniejszy gest dobroci był niebezpieczny. Gdyby go wykryto, mógł straciłby pracę – lub znacznie więcej.

On jednak podjął to ryzyko.

I jest jeszcze jeden szczegół, który dopiero niedawno stał się dla mnie jasny. Dziadek pracował z mosiądzem. Wiem to, bo przynosił do domu wazony, które sam wytożył. I dlatego, że na prezent ślubny dla babci wykonał małą rzeźbę: **mosiężny statek z trzema palmami**, delikatnie uformowany z folii i drutu. Misterny, piękny, zrobiony z tego samego materiału, z którym pracował w fabryce.

To otwiera bolesną możliwość.

Reżim nazistowski miał fetysz orderów, odznaczeń i symboli. Odznaki, swastyki, żelazne krzyże – produkowano je w gigantycznych ilościach, by nagradzać posłuszeństwo, gloryfikować przemoc i cementować hierarchię. Wiele z nich robiono z mosiądzu lub podobnych stopów. Jeśli dziadek pracował w dziale obróbki precyzyjnej – a wszystko na to wskazuje – mógł brać udział w **wytwarzaniu właśnie tych symboli reżimu**.

Jeśli tak było, ironia jest okrutna. Człowiek, który nigdy nie wstąpił do partii, który dzielił się jedzeniem z robotnikami przymusowymi i odrzucił ideologię państwa, być może używał swojego kunsztu do produkcji medali reżimu. Ten sam kunszt, który w domu stworzył prezent dla ukochanej kobiety. Statek. Palmy. Pokój.

Opór w dyktaturze rytuałów

Nawet w domu presja na konformizm była nieustępliwa.

Gdy dziadkowie brali ślub, reżim „podarował” im darmowy egzemplarz *Mein Kampf*. To był standard. Symboliczny gest, by każde małżeństwo i każdą rodzinę związać z ideologią Hitlera. Babcia wzięła czerwony ołówek i **wykreśliła swastykę z okładki**. Książki nie wyrzuciła – zostawiła. Nie z czci, lecz jako świadectwo. Relikt wtargnięcia. Przypomnienie tego, co im narzucono.

Musieli też słuchać przemówień Hitlera w radiu. Naziści masowo produkowali tanie odbiorniki – **Volksempfänger**, „radio ludowe” – by zalać naród propagandą. Blokowi (*Blockwarte*) sprawdzali posłuch. Jeśli radio było wyłączone, jeśli przez zasłony zaciemniające przedostawało się światło – mogłeś zostać zadenuncjowany.

Dziadkowie znajdowali obejścia.

Przekupywali blokowego drobnymi przysługami. **Twierdzili, że radio się zepsuło** albo że nie ma zasięgu. Czasem po prostu siedzieli w ciszy i udawali, że ich nie ma. Innym razem – wiedząc, że są obserwowani – odkręcali głośność **na maksa**, żeby cały blok słyszał – spektakl nie lojalności, lecz przetrwania.

Ich opór był cichy. Taktyczny. Nie wystąpili otwarcie – to byłoby samobójstwo. Ale na swój sposób odmówili.

Co to znaczy dla mnie

Nie wychowałem się w cieniu winy. Moi dziadkowie nie byli w SS. Nie byli ideologami. Nie byli sprawcami. Byli zwykłymi ludźmi pod nadzwyczajnym naciskiem i próbowali – cichą odwagą – zachować człowieczeństwo.

To ma dla mnie znaczenie dziś, bo widzę, jak przeszłość jest używana do kształtowania teraźniejszości.

W części Europy, zwłaszcza w Niemczech i Austrii, brzemień historii sprawia, że niektórzy przywódcy polityczni dają **bezwarunkowe poparcie** państwu Izrael – nawet gdy popełnia ono poważne zbrodnie wobec Palestyńczyków. Logika (rzadko wypowiedzana głośno) jest jasna: ponieważ byliśmy winni wtedy, nie wolno nam krytykować teraz. Ponieważ Żydzi byli ofiarami naszych zbrodni, musimy wspierać państwo żydowskie bez warunków.

Ale ta logika jest wadliwa. **Dwa zła nie czynią dobra.**

Cierpienie Żydów w Holokauście nie usprawiedliwia cierpienia Palestyńczyków dziś. Wina państw europejskich nie powinna być spłacana kosztem kolejnego wypędzonego narodu. Zbrodnie przeszłości nie są odkupione przez przymykanie oczu na zbrodnie teraźniejszości.

Moi dziadkowie tych zbrodni nie popełnili. Żyli pod dyktaturą, ale próbowali pozostać przyzwoici. Dziadek używał rąk, by z mosiądzu robić znaki współczucia, podczas gdy fabryka robiła z niego znaki władzy. Babcia czerwonym ołówkiem wykreśliła swastykę. Ich przykład daje mi siłę, by mówić jasno.

Nie czuję obowiązku odpokutowania za grzechy, których moja rodzina nie popełniła. Czuję obowiązek czcić wartości, według których żyli: współczucie ponad konformizmem, godność ponad dogmatem, odwagę troski w czasach, gdy troska była niebezpieczna.

Pamięć jako odmowa

To mój rejestr. Moja ofiara. Moja odmowa, by ich historia zniknęła.

To historia mosiądzu i bomb. Radia puszczanego za głośno i jedzenia dzielonego w sekrecie. Czaszki, która nosiła ból przez całe życie, i mosiężnego statku płynącego przez pamięć. Ludzi, którzy nigdy nie udawali bohaterów, ale odmówili stać się potworami.

Piszę to, żeby nie zostali zapomniani. I piszę to, by przypomnieć sobie – i każdemu, kto to przeczyta – że sprawiedliwość musi być powszechna. Pamięć musi być uczciwa. Współczucie nigdy nie może być warunkowe.

Nawet w ciemności mały akt dobroci może być rodzajem światła. Tego nauczyli mnie dziadkowie.

I dlatego pamiętam.